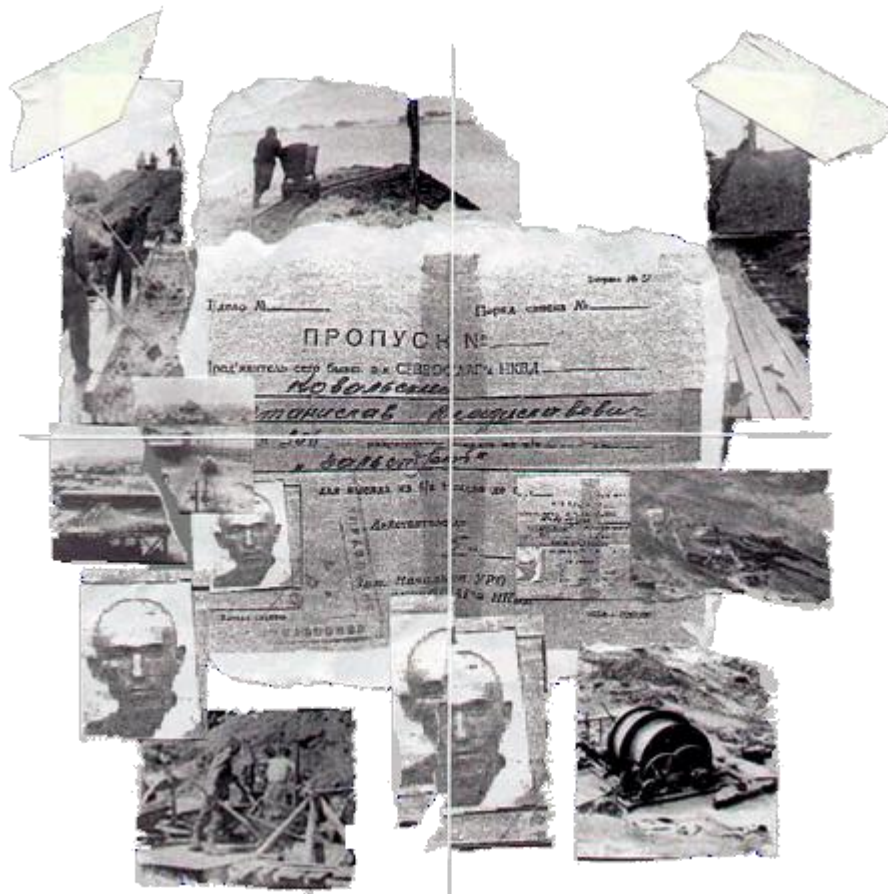


Kołyma, mgła i mgła



Ryszard Kapuściński

Cztery dni czekałem na lotnisku w Jakucku, żeby mój samolot odleciał do Magadanu. Na Kołymie szalały burze śnieżne, wszystko tam podobno zawało, zasypało, i z tego powodu wstrzymano zaplanowane loty.

Tak wygląda podróżowanie po Syberii.

Większość lotnisk jest źle oświetlona, maszyny, które tam latają, są stare i często się psują, czasem trzeba również czekać gdzieś hen, na krańcach kontynentu, żeby dowieźli do samolotów paliwo. Cały czas, będąc w podróży, człowiek żyje w napięciu, w nerwach, w lęku, że przez te nieoczekiwane postoje, i zwłoki straci jakieś połączenie, jakąś rezerwację i wtedy dramat, nieszczęście, katastrofa, bo tu nie wolno grymasić, zamieniać biletów, wybierać innych terminów i tras, można natomiast ugrzęznąć na całe tygodnie na przypadkowym, nieznanym i zawsze zatłoczonym lotnisku, bez

szansy, żeby wydostać się szybko (wszystkie bilety są na miesiące naprzód wyprzedane), co wówczas z sobą zrobić, gdzie mieszkać, z czego żyć?

W takiej właśnie sytuacji jestem teraz w Jakucku. Wrócić do miasta też nie mogę, bo a nuż na Kołymie burza nagle ucichnie? Jeżeli burza ucichnie, samolot natychmiast odleci, musimy więc trzymać się go rękami i nogami, bo jeśli ucieknie, jeśli odfrunie - jesteśmy straceni.

Pozostaje więc siedzieć i czekać.

Oczywiście, okropna to beczynność i nieznośna nuda tak siedzieć bez ruchu, w stanie myślowego odrętwienia, nic właściwie nie robiąc, ale z drugiej strony czyż nie w ten bierny i apatyczny sposób spędzają czas miliony i miliony ludzi na kuli ziemskiej? I to od lat, od stuleci? Niezależnie od religii, od kultur i ras? Wystarczy, że w Ameryce Południowej udamy się w Andy albo przejdziemy zakurzonymi uliczkami Piury czy popłyniemy rzeką Orinoko - wszędzie napotkamy biedne, gliniane wioski, osady i miasteczka, i zobaczymy, jak wielu ludzi siedzi na przyzbach domów, na kamieniach i ławkach, siedzi bez ruchu, nic właściwie nie robiąc. Jedźmy z Ameryki Południowej do Afryki, odwiedzmy samotne oazy na Saharze i ciągnące się wzdłuż Zatoki Gwinejskiej wioski czarnych rybaków, odwiedzmy tajemniczych Pigmejów w dżungli Konga, małą miścinę Mwenzo w Zambii, urodziwe plemię Dinka w Sudanie - wszędzie zobaczymy, że ludzie siedzą, czasem odezwą się jakimś słowem, wieczorem ogrzeją się przy ognisku, ale właściwie nie robią nic, tylko beczynnie i nieruchomo siedzą, będąc poza tym (możemy przypuszczać) w stanie myślowego odrętwienia. A czy w Azji jest inaczej? Czy jadąc drogą z Karaczi do Lahore albo z Bombaju do Madrasu lub z Dżakarty do Malangu - nie uderzy nas, że tysiące, ba, miliony Pakistańczyków, Hindusów, Indonezyjczyków i innych Azjatów siedzą beczynnie, bez ruchu, i przyglądają się nie wiadomo czemu? Lećmy na Filipiny i na Samoa, odwiedzmy niezmierzone obszary Yukonu i egzotyczną Jamajkę - wszędzie, wszędzie ten sam widok ludzi siedzących bez ruchu, całymi godzinami, na starych krzesłach, na kawałkach desek, na plastikowych skrzynkach, w cieniu topoli i mangowców, opartych o ściany slumsów, o płoty i framugi okien, niezależnie od pory dnia i roku, od tego, czy świeci słońce, czy pada deszcz, ludzi osowiałych i nijakich, jakby w stanie chronicznej drzemki, właściwie nic nie robiących, tkwiących tak bez potrzeby i celu, a także (można przyjąć) pogrążonych w myślowym odrętwieniu. A tu, wokół mnie, na lotnisku w Jakucku? Czyż nie to samo?

Tłum ludzi siedzący bez słowa, bez ruchu, ociężały tłum, który nie drgnie, który, mam wrażenie, nawet nie odдыcha. Przestańmy więc denerwować się i miotać, przestańmy zamęczać stewardesy pytaniami, na które i tak nie mają

odpowiedzi, i wzorem naszych braci i sióstr z sennej wioski San Juan pod Valdivią, z przygniecionych upałem osad na pustyni Gobi i z zaśmieconych przedmieść Szirazu - usiadźmy bez ruchu, patrząc wszystko jedno gdzie i zapadając się z każdą godziną głębiej i głębiej w stan myślowego odrętwienia.

Po czterech dniach burza na Kołymie cichnie, zażywna stewardesa biega po sali, budzi śpiących, woła donośnie: Magadan! Komu w Magadan? Pospiesznie, nerwowo zbieramy swoje torby, worki, paczki, kuferki i okręcając się szalami, zapinając kożuchy i wciskając uszanki na głowy - bezładnie pędzimy do samolotu, który zaraz kołuje na pas startowy. Lecimy. Obok mnie siedzi kobieta - leci odwiedzić syna, który na Kołymie służy w wojsku. Jest zmartwiona jego listami, wynika z nich, że źle znosi diedowszczyne.

Czy słyszałem o diedowszczyne? Tak, słyszałem. To system znęcania się podoficerów i starszych roczników żołnierzy nad rekrutami. Jeden ze złośliwych nowotworów toczących Armię Czerwoną. Społeczeństwo sowieckie sprowadzone do rozmiarów plutonu czy kompanii i ubrane w mundur. Istota tego społeczeństwa: znęcanie się silnego nad słabszym. Rekrut jest słabszy, więc starsi rangą czy stażem w armii robią z niego swojego niewolnika, pariasa, czyścibuta, spluwaczkę. Rekrut musi się wkupić w nową, zdziczałą społeczność, musi utracić osobowość i godność. W tym celu rekruta maltretują, gnębią, łamią, niszczą. Biją go i katują. Czasem nie wytrzymuje pastwienia się i szczucia, okrucieństwa i terroru, próbuje uciekać albo popełnia samobójstwo. Rekrut, który przemęczy się i przetrwa bezlitosny karcer diedowszczyzny, będzie żyć tylko jedną myślą - odkuć się, zemścić, wziąć odwet za swoje upokorzenia, za to, że tarzali go w błocie i w kale, że musiał wachać onuce kaprali, że kopali go buciorami w twarz. Ale na kim wczorajszy rekrut weźmie odwet? Komu będzie zabierać paczki z domu, komu odbije nerki? Oczywiście - słabszemu od siebie, a więc - nowemu rekrutowi.

Ten tradycyjny już, zwyczajowy sadyzm ma dziś nowe pożywki, bo w armii rozgorzały konflikty etniczne i religijne: Uzbek zabija Tadżyka, pluton prawosławnych (Rosjanie) ściera się z plutonem muzułmanów (Tatarzy), szamanista (Mordwin) wbija nóż w plecy ateście (Niemcowi).

Strwożone, przerażone matki zaczęły się organizować w różne związki i stowarzyszenia, aby zmusić władze do walki z diedowszczyzną. Można je spotkać na różnych demonstracjach i pochodach, jak idą niosąc przed sobą dwie fotografie: na jednej młody chłopiec, zdjęcie zostawione matce na pamiątkę, kiedy szedł do wojska, na drugiej ta sama twarz, ta sama głowa - już w trumnie. Jeżeli matka jest w miarę zamożna, te zdjęcia są oprawione w

ramki, za szkłem. Ale widzi się też kobiety biedne, które niosą liche, wystrzępione fotografie. Deszcz i śnieg zmywa już i zaciera rysy młodej twarzy. Jeżeli, przechodząc, zatrzymacie się na chwilę, kobieta podziękuje wam za ten gest.

Sąsiadka z samolotu mówi mi o udrękach swojego syna-rekruta szeptem, na ucho: zdradza przecież tajemnice wielkiej armii. Nie wiem, czy czytała studium Michajłowskiego o Dostojewskim. Stary, wielki tekst napisany w 1882 roku. Michajłowski był rosyjskim eseistą, myślicielem. Odrzucał Dostojewskiego, nazywał go "okrutnym talentem", ale jednocześnie podziwiał jego przenikliwość, jego geniusz. Michajłowski pisze, że Dostojewski odkrył w człowieku cechę straszną niepotrzebne okrucieństwo. Że w człowieku jest skłonność do zadawania innym cierpienia - bez przyczyny i bez celu. Człowiek zdręcza drugiego bez żadnego powodu, tylko dlatego, że dręczenie daje mu rozkosz, do której nigdy głośno się nie przyzna. Cecha ta (niepotrzebne okrucieństwo), połączona z władzą i pychą, stworzyła najokrutniejsze tyranie świata. Odkrycia tego, podkreśla Michajłowski, dokonał Dostojewski, który w opowiadaniu "Wieś Stiepańczykowo i jej mieszkańcy" opisał małą, prowincjonalną kreaturę-Fomę Opiskina, dręczyciela, potwora, tyrana. "Dajcie Fomie Opiskinowi władzę Iwana Groźnego lub Nerona, pisze Michajłowski, a nie ustąpi im w niczym i zadziwi świat swoimi zbrodniami". Ponad pół wieku przed umocnieniem się Stalina na Kremlu i przed dojściem Hitlera do władzy Dostojewski z proroczą intuicją dostrzegł w postaci Fomy Opiskina protoplastę obu tych tyranów.

Foma, pastwiąc się nad swoimi ofiarami, zaspokaja potrzebę znęcania się, dręczenia, sprawiania bólu. Foma to człowiek niepraktyczny ("jest mu potrzebne to, co niepotrzebne"), zadając innym cierpienia nie osiąga nic - nie można więc rozpatrywać go w żadnych kategoriach racjonalnych, pragmatycznych. Nie myśli o tym, że znęcanie się nad ludźmi nie ma celu i do niczego nie prowadzi - ważny jest sam proces znęcania się, samo tyranizowanie, uprawianie okrucieństwa dla okrucieństwa. Istotna dla oprawcy jest tu sama czynność męczenia innych, samo sadystyczne działanie, samo bycie okrutnym. Foma "bez żadnej przyczyny bije zupełnie niewinnego człowieka". To sprawia mu rozkosz i daje poczucie władzy absolutnej. W tej czystej, nieskalanej bezinteresowności zadawania cierpienia, określonej przez Michajłowskiego jako "niepotrzebne okrucieństwo", widzi on wielkie psychologiczne odkrycie Dostojewskiego.

Ale dlaczego, zastanawia się Michajłowski, ludzie typu Fomy Opiskina znajdowali dla siebie taki podatny grunt w Rosji? Bo, odpowiada, "główną cechą Rosjanina, utrwaloną w narodzie rosyjskim - jest bezustanne dążenie

do cierpienia". Tak, to musiał być Rosjanin, żeby opisać postać Fomy, żeby odkryć jego mroczną duszę, którą przepelnia "nieposkromiona, samoistna złość", żeby pokazać nam jego straszne, niepojęte Podziemie.

Pod skrzydłami samolotu przesuwa się biała, nieruchoma płaszczyzna, gdzieś gdzieś poznaczona ciemnymi plamami lasów, przestrzeń monotonna i pusta, pagórki łagodne, w kształcie płaskich, przysadzistych kopców - nic, na czym można by zatrzymać oko, nic, co by przyciągnęło uwagę. To Kołyma.

W Magadanie z lotniska do miasta jest ponad 50 kilometrów, na szczęście złapałem taksówkę, poobijaną, rdzewiejącą wołgę. Jechałem z duszą na ramieniu, gdyż nie miałem do miasta przepustki, bałem się, że mnie zawrócą z drogi, a od tak dawna myślałem o tym, żeby tu przyjechać, zobaczyć to najstraszniejsze, obok Oświęcimia, miejsce na świecie. Jechaliśmy ośnieżoną szosą, między wzgórzami, czasem mijając rzadkie sosnowe zagajniki. Z jednego z tych zagajników wyszło nagle dwóch młodych ludzi w ciemnych okularach, w eleganckich, zachodnich płaszczach z podniesionymi kołnierzami. Typy jak ze sztaampowego, kryminalnego filmu. Zatrzymali nas i pytają, czy weźmiemy ich do miasta. Kierowca spojrzał na mnie, ale byłem zdania, że nie ma się nad czym zastanawiać i trzeba ich wziąć. Okazało się, że zesłał ich dobry anioł, bo dziesięć kilometrów dalej był punkt kontrolny i musieliśmy stanąć. Widząc z daleka milicjantów zdjąłem i schowałem okulary. Tutaj noszą szkła w żółtej lub brązowej plastikowej oprawie, a moja oprawa jest metalowa, lekka, od razu zwraca uwagę, że inna, nie stąd, i kiedy chcę się zgubić - chowam okulary. W mojej bawełnianej tielogrejce i reniferowej uszance wyglądałem jak ktoś z Omska czy z Tomsku. W istocie, milicjanci od razu zainteresowali się tymi w ciemnych okularach, zaczęła się kłótnia, awantura, szamotanina, wywlekanie ich z samochodu. Słowem, zatrzymali tych młodych, a nam kazali jechać.

Kaukaska mafia, określił tych zatrzymanych kierowca taksówki. Słowo "mafia" robi teraz błyskawiczną karierę. Coraz częściej zastępuje ono słowo "naród". Tam, gdzie żyło kiedyś "w zgodzie i braterstwie" sto narodów, teraz pojawiło się sto mafii. Narody zniknęły, przestały istnieć. Na ich miejsce pojawiły się trzy wielkie macie - mafia ruska, mafia kaukaska i mafia azjatycka. Te wielkie mafie dzielą się na nieskończoną liczbę mniejszych mafii. Są więc mafie czeczeńskie i gruzińskie, tatarskie i uzbeckie, czelabińskie i odeskie. Te mniejsze macie dzielą się na jeszcze mniejsze, te z kolei na zupełnie małe. Małe, ale groźne, uzbrojone w pistolety i noże. Są więc mafie operujące w skali kraju, w skali republiki, w skali miasta, dzielnicy, jednej ulicy, ba- jednego podwórka. Geografia maili jest bardzo skomplikowana, ale kto do jakiej mafii należy inni mafioso dokładnie wiedzą, od tego rozeznania zależy przecież ich życie. Wszystkie mafie mają

dwie cechy:
a) ich członkowie nie pracują, a dobrze żyją,
b) ciągle załatwiają porachunki. Kradnie, przemyca albo załatwia porachunki
- tak wygląda codzienne życie członka mafii.

Ta obsesja mafii: natrętnie myślenie w mafijnych kategoriach - nie jest tak zupełnie wzięta z powietrza, ma ona swoje głębokie, tragiczne korzenie. Wielki kataklizm końca lat dwudziestych: wojna światowa, październik 1917, potem wojna domowa i masowy głód - pozbawiły w Rosji miliony dzieci ich rodziców i domu. Te miliony sierot, miliony bezprizornych, krążyły drogami kraju, po wsiach i miastach, szukając jedzenia i dachu nad głową (to różnica jednak być głodnym i bezdomnym w Afryce i w Rosji, w Rosji bez ciepłego kąta zamara się na śmierć). Wielu z tych bezprizornych żyło z kradzieży i rabunku. Z czasem część z nich wcielono do NKWD, gdzie stali się instrumentem stalinowskich represji, a część przemieniła się w zawodowych złodziei - ci później byli w łagrach prawą ręką nadzorców z NKWD i terroryzowali więźniów politycznych. Skala tej patologii jest ważna: i w jednym, i w drugim wypadku były to, na przestrzeni lat, miliony ludzi. Dziadkami wielu dzisiejszych mafioso w Rosji są owi bezdomni i często bezimienni bezprizorni. Oderwanie się od swojej przeszłości nie było łatwe, a czasem wręcz niemożliwe. Kto raz popadł w konflikt z władzą, ten swój konfliktowy status przekazywał synowi i wnukowi. To jest właśnie specyfika postsowieckiego społeczeństwa w byłym ZSRR - że istnieją tam nie jednostki, nie elementy przestępcze, ale cała, posiadająca rodowód i tradycję inną niż reszta społeczeństwa, kryminalna warstwa ludzi. Każdy kolejny kryzys - druga wojna światowa, powojenne czystki, korupcja epoki Breżniewa, rozpad ZSRR - uzupełniał i zwiększał szeregi tej warstwy.

O mafiach w Imperium można by długo. Temat intrygujący, jeżeli ktoś się tym pasjonuje. Maniakalne, uporczywe widzenie świata jako wielkiej, totalnej struktury mafijnej (Kto próbuje odłączyć się od Gruzji? Mafia abchaska. Kto atakuje Ormian? Mafia azerbejdżańska, itd.) ma dwa dodatkowe źródła. Pierwszym jest upowszechniana latami przez stalinizm spiskowa teoria dziejów (za wszystkim, co się dzieje niedobrego, stoją spiski, organizacje, mafie), a drugim jest tradycja, praktyka i klimat ogólnej tajemniczości, charakteryzujące życie polityczne i społeczne w tym państwie (Kto był u władzy? Mafia Gorbaczowa. Kto będzie rządzić na Kremlu za kilka lat? Jakaś inna mafia!).

W mieście nikt mnie już o nic nie pytał. Mimo że recepcjonistka hotelu "Magadan" była surowa i patrzyła na mnie (nie wiem dlaczego) z naganą, dała mi widny i ciepły pokój numer 256. Z okna widziałem ośnieżoną ulicę i przystanek autobusowy, a dalej mur, za którym było stare więzienie.

Do Magadanu można przyjechać jak ci trzej Japończycy z firmy tekstylnej w Sapporo, których spotykam w hotelu. Nie wiedzą, gdzie są.

Handlują, kłaniają się, uprzejmi, czyści, wydajni. Chcą sprzedać swoje tekstylia-to jest to, co ich tutaj sprowadza. Ale można także przyjechać z zupełnie innym niż eleganckie tkaniny bagażem - to znaczy z bagażem wiedzy o miejscu, w którym właśnie rozmawiam z Japończykami. Rzecz w tym, że stoimy na ludzkich kościach. I gdyby nawet pod wpływem tej świadomości odskoczyć na krok albo nawet odbiec na kilkaset metrów, niczego to nie zmieni: wszędzie cmentarz i cmentarz.

Magadan jest stolicą północno-wschodniego obszaru Syberii, nazwanego Kołymą od płynącej tu rzeki - Kołymy. Ziemia wielkich mrozów, wiecznej zmarzliny, ciemności - pusty, jałowy, prawie bezludny teren, dawniej odwiedzany tylko przez małe plemiona koczownicze - Czukczów, Ewenków, Jakutów. Kołyma wzbudziła zainteresowanie Moskwy dopiero w naszym stuleciu, kiedy rozeszła się wieść, że jest tam złoto. Jesienią 1929 roku nad Zatoką Nogajewa (Morze Ochockie, stanowiące część Pacyfiku) zbudowano tu pierwszą bazę-osadę. Taki był początek Magadanu. W tym czasie można tu było dostać się tylko morzem z Władywostoku lub Nachodki, płynąc na północ 8-10 dni.

11 listopada 1931 KC WKP(b) podejmuje uchwałę o utworzeniu na Kołymie trustu wydobywania złota, srebra i innych metali - Dalstroj. W trzy miesiące później do Zatoki Nogajewa wpływa statek "Sachalin", na którym przybywa pierwszy dyrektor Dalstroju - łotewski komunista, generał GPU, Edward Berzin. Berzin ma wówczas 38 lat. Będzie żyć jeszcze pięć lat. Od przyjazdu Berzina liczy się początek gehenny, która pod nazwą Kołymy przejdzie, razem z Oświęcimiem, Trebliką, Hiroszimą i Workutą, do historii największych koszmarów XX wieku. W potocznym języku rosyjskim nazwa Kołymy przemieniła się w przedziwny sposób w słowo-pocieszenie. A mianowicie, kiedy jest naprawdę źle, okropnie, strasznie, Rosjanin pociesza Rosjanina: Nie rozpaczaj, na Kołymie było gorzej!

Na mroźnej pustyni Kołymy potrzeba jednak ludzi do pracy. Dlatego, jednocześnie z Dalstrojem, Moskwa powołuje tam do życia zarząd Północno-Wschodnich Obozów Pracy Poprawczej (USWITŁag). USWITŁag spełniał tę samą rolę wobec Dalstroju, co obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka wobec IG Farben - dostarczał niewolników.

Początek Magadanu to jednocześnie początek wielkiego terroru epoki Stalina. Miliony ludzi dostają się do więzień. Na Ukrainie dziesięć milionów chłopów ginie z głodu. Ale nie wszyscy jeszcze umarli. Niezliczone tłumy "kułaków" i innych "wrogów ludu" można by wysłać na Kołymę, ale wąskim

gardłem jest transport. Jedna tylko linia kolejowa prowadzi do Władywostoku, kilka tylko statków kursuje stąd do portu w Magadanie. Tą właśnie drogą, nieustannie przez 25 lat, trwa przewóz żywych szkieletów ludzkich z całego Imperium do Magadanu.

Żywych, a także już martwych. Wałam Szałamow opowiada o statku "Kim", który wiozł w ładowniach trzy tysiące więźniów. Kiedy zbuntowali się, konwojenci zalali ładownie wodą. Był czterdziestostopniowy mróz. Do Magadanu dowieziono zamrożone bryły. Inny statek, wiozący tysiące zesłańców, ugrzązł w lodach Arktyki. Dopłynął do portu po roku nikt z więzionych już nie żył.

Oto statek "Dżurma", który wiezie skazane kobiety, dopłynął do Magadanu. Wiele z tych kobiet z głodu i wycieńczenia już umiera. Takich ludzi, już w stanie powolnej agonii, nazywa się w języku łagrów dochodiagami.

"Dochodiagów wynoszono po kolei na noszach. Wynoszono i układano na brzegu rzędami, z pewnością dla ułatwienia sprawozdawczości, żeby uniknąć bałaganu przy wystawianiu aktów zgonu. Leżałyśmy na kamieniach i oglądałyśmy się za naszym etapem, który włókł się do miasta na męki wspólnej łaźni i dezynfekcji" (Eugenia Ginzburg - "Stroma ściana").

Do transportu dostawali się ludzie już wycieńczeni miesiącami więzienia, śledztwa, głodu i bicia. Teraz następowały tygodnie męki w zatłoczonych, bydłych wagonach, w brudzie, w obłędzie pragnienia (bo nie dawano im pić). Nie wiedzieli, dokąd jadać i co ich czeka na końcu podróży. Kto przeżył tę gehennę, był w Magadanie pędzony do wielkiego łagru etapowego. Tu odbywał się targ niewolników. Komendanci łagrów, rozmieszczonych przy kopalniach, przychodzili i wybierali dla siebie najbardziej jeszcze sprawnych fizycznie więźniów. Kto z komendantów stał wyżej w hierarchii władzy - wybierał sobie silniejszych skazańców.

Łagrów albo - jak nazywają je również - arktycznych obozów śmierci (Conquest) było w Magadanie i na Kołymie sto sześćdziesiąt. W ciągu lat skazańcy zmieniali się, ale w każdym momencie przebywało w tych obozach około pół miliona ludzi. Z nich - jedna trzecia umierała na miejscu, inni, po odbyciu lat katorgi, wyjeżdżali jako fizyczne kaleki lub osoby o trwałych urazach psychicznych. Kto przeżył Magadan i Kołymę, nigdy już nie był tym, kim był kiedyś.

Łagier był sadystycznie i zarazem precyzyjnie pomyślaną strukturą, mającą na celu zniszczenie i zagładę człowieka w taki sposób, aby przed śmiercią doznał on największych upokorzeń, cierpień i męczarni. Była to

kolczasta sieć zniszczenia, z której, raz dostawszy się w nią, człowiek często nie mógł się już wyplątać. Składała się ona z następujących elementów:

zimno - odziany w nędzne i cienkie łachmany skazaniec ciągle cierpiał z zimna, zamarzał;

głód - zimno to odczuwał tym dotkliwiej, że był bez przerwy zwierzęco, obsesyjnie głodny, mając jako wyżywienie kawałek chleba i wodę;

katorżnicza praca - głodny i zmarznięty musiał ciężko, katorżniczo, ponad siły pracować, kopiąc i wożąc taczkami ziemię, tłukąc kamienie, ścinając las;

brak snu - zmarzniętemu, głodnemu, umęczonemu pracą i najczęściej choremu - odbierano sen. Mógł spać krótko, w lodowatym baraku, na deskach, w łachmanach, w których pracował;

brud - nie wolno mu było myć się, zresztą nie było kiedy i gdzie, był pokryty skorupą lepkiego brudu i potu, śmierdział, cuchnął nie do zniesienia;

robactwo - cały czas żarło go robactwo. W łachmanach gnieździły się wszy, prycze w barakach oblepiały pluskwy, latem zamęczały go roje komarów i strasznych syberyjskich muszek, atakujących całymi chmurami;

sadyzm NKWD - nieustannie pastwili się nad nim konwojenci i strażnicy - dozór NKWD. Krzyczeli, bili pięściami w twarz, kopali, szczuli psami i z błahaego powodu - rozstrzeliwali;

terror kryminalistów - więźniów politycznych terroryzowali, okradali i znęcali się nad nimi - kryminaliści. Do nich należała faktyczna władza niższego szczebla;

poczucie krzywdy - psychiczną torturą było znosić poczucie najgłębszej krzywdy. Ci wszyscy więźniowie polityczni byli najzupełniej niewinni, nie zrobili nic złego;

tęsknota i strach - wszystkich męczyła tęsknota do najbliższych, do domu (wyroki sięgały 25 lat), zupełne odcięcie od świata, niewiadome, coraz straszniejsze jutro, strach, że każdego dnia nastąpi śmierć.

"To straszne zobaczyć łagier - pisał Warłam Szalamow, który spędził w łagrach dwadzieścia lat, z tego większość na Kołymie. - Żaden człowiek na świecie nie powinien znać łagrów. W łagrowym doświadczeniu wszystko jest negatywne - co do jednej minuty. Człowiek staje się jedynie gorszy. I nie

może być inaczej. W łagrze jest wiele tego, o czym człowiek nie powinien wiedzieć. Ale ujrzyć dno życia - to nie jest najstraszniejsze. Najstraszniejsze jest to, gdy owo dno staje się własnością człowieka, gdy miara jego moralności zapożyczona jest z łagrowego doświadczenia, kiedy zastosowanie w życiu znajduje moralność kryminalistów. Gdy rozum człowieka stara się nie tylko usprawiedliwić owe łagrowe uczucia, ale też im służyć".

I dalej:
"Łagier był dla człowieka wielką próbą charakteru, zwykłej ludzkiej moralności, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi nie wytrzymało tej próby. Wraz z tymi, co nie wytrzymywali, umierali ci, co zdołali wytrzymać, starając się być lepszymi niż wszyscy, twardszymi dla samych siebie...".
(Warłam Szalamow - "Opowiadania kołymskie")

1 grudnia 1937 Berzin zostaje odwołany do Moskwy. Stalin uznał, że ten oprawca postępował jednak zbyt łagodnie, kazał go aresztować i rozstrzelać. Na jego miejsce, tegoż samego 1 grudnia, dopływa do Magadanu statek "Mikołaj Jeżow", który przywozi dwóch nowych władców Kołymy - dyrektora Dalstroju pułkownika Karpa Pawłowa (zastrelił się w 1956 r.) i jego zastępcę, szefa kołymskich obozów śmierci - pułkownika Stiepana Garanina. Garanin ma 39 lat. Będzie jeszcze żyć jeden rok.

Garanin to czarna legenda Kołymy.

"Iwanie Kuźmiczu, czy pamiętacie Garanina? Czy pamiętam? Dobrze sobie. Przecież widziałem go z bliska, tak jak ciebie teraz oglądam. Obchodził kolumnę więźniów. I był nie sam, ze świtą. Zanim się zjawił, przekazywano przez telefon: może tu zajechać, żeby osobiście przeprowadzić inspekcję łagru. Był jeszcze w Magadanie, kiedy myśmy już stali na baczność. Wszystko wyczyszczone, wymalowane, posypane żółtym piaskiem. Komenda ciska się we wszystkie strony, nie mogąc opanować nerwów. Nagle szept: jadą, jadą. Brama łagru otwarta szeroko. A on wjeżdża w nią swoją kolumną - kilka samochodów osobowych, kilka ciężarówek z ochroną osobistą. Wysiada z pierwszego wozu, a świta błyskawicznie ustawia się po bokach. Wszyscy z mauzerami, w półkożuszkach. On sam w niedźwiedzim futrze. Mina groźna. Wzrok pijany i ciężki jak ołów. Komendant naszego łagru, major, podbiega do niego i składa meldunek drżącym głosem:
"Towarzyszu komendancie USWITŁagu NKWD. Wydzielony podobóz łagru do przeglądu". "Czy są tu więźniowie, którzy wymigują się od pracy?". "Są" z lękiem odpowiada major. I wychodzi z szeregu ze dwunastu ludzi. "Ach tak, nie chcecie pracować, kurwa wasza mać?". I już ma w ręku pistolet. Bach! Bach! Bach! Położył wszystkich. Kto się poruszył, tego dobiła świta.

"A są tu rekordziści, tacy, co przekraczają normę? Przodownicy pracy?".
"Są, towarzyszu naczelniku USWITŁagu NKWD". Radosny, wesoły szereg przodowników. Oni nie mają się czego lękać. Garanin podchodzi do nich ze swoją świtą, ciągle jeszcze trzymając w ręce mauzer z pustym magazynkiem. Nie odwracając się, podaje go do tyłu swojej świcie. Dostaje od nich nowy, załadowany pistolet, który chowa do drewnianej kabury, ale ręki nie spuszcza z kolby. "A więc przodownicy pracy? Przekraczacie normy?". "Tak" - odpowiadają. A on znowu ich pyta: "Wrogowie ludu przekraczają normy? Hm... Wy, przekłęci wrogowie ludu! Takich trzeba likwidować...". I znowu: Bach! Bach! Bach! I znowu z dziesięciu ludzi leży w kałuży krwi. A on jakby poweselał, oczy zrobiły mu się spokojniejsze. Nasycił się krwią. Komendant łagru prowadzi drogich, szanownych gości do stołówki na przygotowaną ucztę. I cieszy się, że sam uniknął kuli. Kiedy Garanin miał ochotę, strzelał i do komendantów łagrów. Straszna to była samowola, kiedy naczelnikiem był Garanin. Ludzie padali jak muchy" (Anatolij Żygulin - "Czarne kamienie").

Garanin rozstrzeliwał kilku, kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu ludzi dziennie. Mordując, śmiał się albo śpiewał wesołe czastuszki. Beria kazał go rozstrzelać nagle i nie wiadomo dlaczego, niby japońskiego szpiega. A można przecież sądzić, że ten tęgi, rosły osiłek, syn białoruskiego chłopca, kowal z zawodu, półanalfabeta, nie wiedział nawet, że istnieje taki kraj - Japonia.

Przyjeżdżając do Magadanu, miałem ze sobą numery trzech telefonów. Zadzwoń. Pierwszy telefon - młody, męski głos odpowiedział, że ta kobieta już nie żyje. Drugi - cisza, nikt nie podnosił słuchawki. Wykręciłem trzeci numer: 23344. Odezwał się niski, pogodny głos. Przedstawiłem się i usłyszałem odpowiedź tak życzliwą, nawet - radosną, jakby tamten, po drugiej stronie linii (nie znałem go osobiście), czekał latami na moją wizytę. Umówiliśmy się na spotkanie. Spróbuje pożyczyć gdzieś wóz terenowy, abyśmy mogli trochę pojeździć, coś zobaczyć.

Rano przyjechał zielony gazik. Kierowcą była kobieta, która powiedziała, że ma 47 lat. Dziwne, ale nie zapamiętałem jej imienia (może nie podała go w ogóle), tylko ten wiek. 47 lat wyglądała na masywną, krzepką niewiastę, w której wszystko było wysunięte do przodu, wypukłe, wybałuszone, przede wszystkim - oczy i piersi. Miała potężne, silne ramiona i nie mogłem wyobrazić sobie rozmiarów męczyzny, przy którym poczułaby się nieśmiały, słabym maleństwem. Nic (a myślę również, że nikt) nie mogłoby się jej oprzeć.

Koło kierowcy siedział mój wczorajszy rozmówca - Albert Miłtachutdinow, pisarz, który spędził na Kołymie całe dorosłe życie - ponad 30 lat - zajmując się tu pisaniem, a także geografią tej części Syberii. (Ponieważ na Kołymę można było kiedyś dostać się tylko od strony morza, utarło się mówić o niej jak o wyspie, co jeszcze bardziej podkreślało izolację tego miejsca od reszty świata. Kto wyjeżdżał z Kołymy, mówił: *jadę na kontynent.*)

Pojechali!, powiedziała pytając-rozkazując 47 lat. Ledwie ruszyliśmy, zaczęła zachwycać się Rumunami. Mołodcy Rumyni!, wołała. Obcięli Ceausescu głowę! (Choć było to już dawno, nadal robiło to na niej wrażenie.) Kiedy obetniemy głowy tym, co siedzą na Kremlu?

Od razu - obciąć głowy. Pomyślałem: jestem na Kołymie, tu się mówi takim językiem. Byłem przerażony nie tyle jej słowami, ile faktem, że trzymając kierownicę jedną ręką, drugą pokazywała, jak należy obcinać głowy, a jechaliśmy ulicą o tak strasznych dziurach, wybojach i rozpadliskach, że czułem się jak astronauta w komorze próżniowej - jechałem nie wiedząc, gdzie mam głowę, gdzie nogi, to wóz stawał sztorcem, jakby startując w niebo, to leciał w bezdenną przepaść. Ale 47 lat nie przejmowała się drogą, miała ważniejszy problem. Ach, jak oni nas duraczyli!, mówiła z wściekłością. Jak oni nas duraczyli!

Jej impet, jej furia, wszystkie działa jej nienawiści były wymierzone w Kreml. Tam byli ci, którzy przez 47 lat robili z niej idiotkę, głosząc jakieś niestworzone rzeczy, w które kazali jej wierzyć.

Ale my ich dostaniemy! - upajała się swoją osłepiającą, gniewną wizją.

Dojechaliśmy do Zatoki Nogajewa i zatrzymaliśmy się nad wodą, koło porzuconych, rdzewiejących kutrów. Jest to miejsce-symbol, miejsce-dokument, o takim ciężarze, jak brama do obozu w Oświęcimiu czy rampa kolejowa w Treblince. Ta zatoka, brama i rampa są to trzy różne scenografie tej samej sceny: zejścia do piekieł. Spośród milionów ludzi, których wyrzucono na ten kamienisty, zasypany żwirem brzeg, na którym teraz stoimy, trzy miliony nie wróciły już nigdy.

Zatoka wygląda jak wielkie jezioro o spokojnej, szarobrunatnej powierzchni. Wejście do niej, z Morza Ochockiego, które oddziela ją od Japonii, jest tak wąskie, że, jak mówią, nawet w okresie sztormów nie ma tu wielkiej fali. Ze wszystkich stron widać ciemnoszare, niemal czarne wzgórza o łagodnych zboczach, nagie, bez śladu zieleni, jakby dawno porzucone hałdy węgla lub żużlu. Ćwiat ponury, monotonny, martwy. Bez drzew, bez ptaków. Nie widać żadnego ruchu, nie słychać żadnych odgłosów, Chmury niskie,

pełzające ziemią, zawsze jakby ciągnęły w naszym kierunku, na nas. To otoczenie prowokuje do skrajnych zachowań, można tu wpaść w szal, w obłąd albo w najbardziej przygniatającądepresję; najtrudniej ocalić normalność i wiarę, że natura może być życzliwa, że nie chce nas się pozbyć. W takim miejscu jak Kołyma przyroda brata się z oprawcą, pomaga mu w niszczeniu bezbronnej i niewinnej ofiary, wysługuje się zbrodniarzom, płaszczy się przed nimi, podsuwając im coraz to nowe narzędzia tortur trzaskający mróz, lodowate wichry, piętrowe śniegi, ogromne, nie dające się przejść zimne pustynie.

Więc do tej zatoki dopływały statki wiozące w swoich lukach stłoczonych, półżywych z głodu i duchoty więźniów. Ci, którzy jeszcze poruszali się, schodzili trapami na brzeg. Wtedy właśnie po raz pierwszy widzieli zatokę. Pierwsze wrażenie odnotowane w dziesiątkach wspomnień: stąd się już nie wróci. Formowano ich w kolumny. Zaczynało się liczenie więźniów. Wielu strażników było właściwie analfabetami, dodawanie większych liczb sprawiało im ogromne trudności. Apel trwał godzinami. Półnaczy zesłańcy stali nieruchomo, chłostani wichurą, w śnieżycy. Wreszcie rozlegało się rutynowe ostrzeżenie konwojentów: Krok w lewo lub krok w prawo uważa się za próbę ucieczki - strzelamy bez uprzedzenia!

Formuła ta była identyczna na całym obszarze ZSRR. Dwustumilionowy naród musiał kroczyć zwartą kolumną w nakazanym kierunku. Każde odchylenie w lewo lub w prawo oznaczało śmierć.

Znad zatoki pędzono ich teraz główną ulicą Magadanu, przy której stoi dziś mój hotel. Była to pierwsza ulica w mieście. Zbudował ją Berzin i dał jej swoje nazwisko - szefowie NKWD dawali swoje nazwiska miastom, placom, fabrykom, szkołom, z wolna (czy nawet - szybko) powstawał prawdziwy NKWD-land. W 1935 roku Berzin otworzył w Magadanie Park Kultury, dając mu nazwisko swojego przełożonego, szefa NKWD -Jagody. W trzy lata później i Berzin, i Jagoda zostali rozstrzelani. Ulicę Berzina nazwano ulicą Stalina, a Park Jagody dostał imię nowego szefa NKWD - Jeżowa. W rok później rozstrzelano Jeżowa i park dostał imię Stalina. W 1956 roku ulicę Stalina zamieniono na Marksa, a park Stalina nazwano parkiem Lenina. Na jak długo - nie wiadomo. Rada miejska wpadła jednak na dobry pomysł i nadaje ulicom nazwy apolityczne. Jest więc Gazetnaja, Pocztowaja, Garażnaja, Nabiereżnaja. Przecież gazety, poczta, garaże i nabrzeża będą zawsze.

Umęczone kolumny, po przejściu ulicą Berzina-Stalina, znikwały w bramach łagrów tranzytowych, których w mieście i najbliższej okolicy istniało kilka. W Magadanie było do niedawna zaledwie parę murowanych budynków i całe miasto, składające się z licznych drewnianych domków, nad

którymi wznosiły się wieżyczki strażnicze, wyglądało jak wielki, rozrzucony na wzgórzach łagier, zimą zasypany śniegiem, latem tonący w błocie.

Po kilku dniach więzienne kolumny szły dalej, popędzane krzykiem konwojentów, kolbami, ujadaniem psów. Najważniejsze było dojść na miejsce, bo kto osłabł i padał - był dobijany. Kolumny posuwały się w głąb Kołymy, do wyznaczonych im obozów i prymitywnych, łopatami i kilofami drążonych kopalń złota, platyny, srebra, ołowiu, uranu. Ruszały z Magadanu czasem codziennie, czasem co tydzień, przez dziesiątki lat, jedna za drugą, setna za setną, tysięczna za tysięczną, idąc do miejsc przeznaczenia jedyną tu drogą - Północną - i kolejno znikając w wiecznie panującej, gęstej i zimnej mgle.

Albercie, spytałem, czy możemy zobaczyć stare łagry? Znad zatoki pojechaliśmy w górę, szlakiem więźniów - do miasta. 47 lat przeklinała miejscową biurokrację. Otóż Magadan i stan Alaska nawiązały współpracę. Zaproszono na dwa tygodnie grupę dzieci amerykańskich. Każde dziecko miało mieszkać z jakąś rosyjską rodziną. W mieście doszło do wojny, bo każdy chciał mieć takie dziecko u siebie. Oczywiście, nie szło tylko o małego Amerykanina, choć ludzie są tu nad wyraz szczodrzy. Rzecz w tym, że komu przyznano takiego zamorskiego gościa, tam natychmiast odbywał się remont kamienicy, malowanie ścian, wkręcanie żarówek na klatkach schodowych, wstawianie szyb w oknach, zamykanie podwórza, reperowanie kanalizacji, naprawa kranów, wymiana zlewów i wanien, oliwienie zamków i zawiasów w drzwiach. Właśnie ktoś z bloku, w którym mieszkała 47 lat, starał się o małego Jankesa, ale, jak powiedziała nam wśród krzyków, śmiechu i przekleństw, dał za małą łapówkę. Więc klatka schodowa jest nadal ciemna i nie ma ciepłej wody.

W ogóle żyje się ciężko.

Mieszkaniec Magadanu K. I. Iwanienko skarży się w liście do swojej gazety: "Kilka dni temu w czasopiśmie "Krestianka" przeczytałem swój horoskop, z którego wynikało, że istnieje prawdopodobieństwo, iż uda mi się kupić coś drogiego, ale użytecznego. Toteż ustawiłem się przed drzwiami sklepu "Melodia", nim jeszcze został otwarty, z nadzieją, że kupię telewizor. Niestety, nie udało się. Ale obok jest przecież sklep z obuwem, więc pędzę kupić buty. Niestety, i tu mi się nie udało. Poszedłem do trzech kolejnych sklepów warzywnych-nigdzie nie było kartofli. Zacząłem chodzić od sklepu do sklepu, aby kupić cokolwiek, nawet żeby już niekoniecznie było drogie i niekoniecznie potrzebne, ale nigdzie nic nie dostałem. W końcu znalazłem się w sklepie nr 13, zwanym powszechnie "Trzy świnki". Sprzedawali piwo. Cóż, kiedy okazało się, że piwo sprzedają tylko wówczas, jeżeli ktoś przyniesie sobie z domu kufel" ("Magadanskaja Prawda", 27 IV 1990).

Nie musieliśmy daleko jechać. Puste łagry pozostały w starych dzielnicach, przy zaśnieżonych ulicach bez chodników i latarni. Część z nich przemieniono w jakieś składy i magazyny. Reszta niszczeje i rozsypuje się. Stoją jeszcze, widoczne to tu, to tam, wieżyczki wartownicze, krzywe, pochylone, butwiejące. W śniegu i błocie leżą rozbite bramy, płoty i słupy, bez drutu już - drut rozkradli. Większość baraków została rozebrana na drewno, na opał, kilka stoi jeszcze, ale są puste, bez drzwi i okien.

Wszędzie, w Workucie, w Norylsku, w Magadanie, uderza nędza łagrowego świata, jego skrajna, żebracza bieda, nieudolna, niedbała prowizorka, niechlujstwo i prymitywizm. To świat sklecony z łąt i łachmanów, pozbijany zardzewiałymi gwoździami zwykłym toporem, powiązany parcianym sznurem, ściągnięty byle jakim drutem.

Żeby zatrzeć ślad zbrodni, nic tu nie trzeba rozkuwać, rozbierać, wysadzać w powietrze. Połowa archipelagu GUŁAG już zatoneła w bagnach i w błocie. Połowę łagrów na Syberii zarósł las, a drogi do nich rozmyły wiosenne wody. W miastach na miejscu wielu łagrów stoją już nowe dzielnice, fabryki, stadiony sportowe.

Latem, jeżeli ktoś będzie jechać przez Kołymę drogą Północną - na Karamken, Strelkę, Bolszewik, a będzie wiedział, w którym miejscu, zasłonięte lasami i wzgórzami, są stare łagry, znajdzie tam stosy murszejących drągów, kawałek żelaznej szyny, resztki gliny, z której zbudowana była kuchnia. Wątpliwe, żeby znalazł jakiś przedmiot mogący mieć użytek nie będzie tam ani łyżki, ani miski, kilofa ni łopaty, cegły ni deski, to wszystko zostało zabrane jeszcze przez więźniów lub ich konwojentów albo później rozebrane przez miejscową ludność, bo każda z tych rzeczy ma tu swoją cenę, swoją wartość.

Za kilka lat świat łagrów zatrze za sobą ostatnie ślady.

Albercie, spytałem znowu, czy w Magadanie nie zostało nic z tamtych lat? Żadnego materialnego świadectwa? Zamyślił się. Właściwie nic, powiedział po chwili. Siedziba Dalstroju została zburzona. Koszary NKWD - zburzone. Więzienie śledcze- zburzone. Wszędzie już stoją nowe domy albo biegną tamtędy nowe ulice.

Ale jest ciągle jeden dom, ten zachował się, bo stoi trochę na uboczu, schowany między blokami dzielnicy mieszkaniowej. To dawny Dom Szkolenia Politycznego kadry NKWD kołymskich łagrów.

Wspinając się po olbrzymich zwałach śniegu, poszliśmy do tego domu. Jest piętrowy, stary i wydaje się dziś mały. W głównej sali kilkanaście

szkolnych uczennic, bladych i powaznych, cwiczyl0 w skupieniu figury baletowe. W tej wlasnie sali odbywaly sie odprawy mordercow. Tu ustalano czestotliwosc i rozmiary egzekucji. Tu przychodzili Garanin i Pawlow, Nikiszow i Jegorow. Setki innych, ktorych lufy naganow byly jeszcze cieple.

Na ich oczach, z ich pomocą, a czasem z ich ręki - zginęły trzy miliony ludzi.

Chodziliśmy po pustym budynku. A tu?, zapytałem Alberta, pokazując jakieś drzwi.

Za drzwiami była ubikacja oprawców. Miała wielkość średniego pokoju. Żadnych muszli klozetowych. Tylko w betonowej, nierówno położonej podłodze sześć owalnych dziur. Szare, pełne brunatnych zacieków ściany. Połamany kran. To wszystko, co pozostało, Albercie? To wszystko, odpowiedział.

Mam ze sobą dwie książki: Warłama Szalamowa "Opowiadania kołymskie" i Aleksandra Weissberga-Cybulskiego "Wielką czystkę". Pasjonujące jest zestawienie tych autorów, ich światopoglądów i postaw. Porównanie to pozwala choć trochę wnikać w myślenie rosyjskie, w jego zagadkę i specyfikę. Obie książki są opowieścią-dokumentem o tym samym doświadczeniu ofiary bolszewickiej represji, ale jakże różne są umysły ich autorów!

Obaj należą do tego samego pokolenia (Weinsberg urodzony w 1901 r., Szalamow - w 1907). Obaj zostają aresztowani w 1937 r. (Szalamow, już po raz drugi, w Moskwie, Weissberg w Charkowie, gdzie pracuje jako inżynier kontraktowy). Obaj zamęczani, torturowani, gnębieni, upokarzani przez NKWD. Zupełnie niewinni, czyści, uczciwi ludzie. Ale tu zaczynają się różnice.

Pytanie jest następujące: co będzie w nas przeważać, decydować o naszym stosunku do życia, do rzeczywistości? Cywilizacja, tradycja, w której wyrosliśmy, czy też wiara, ideologia, którą posiadamy i wyznajemy? Austriak Weissberg jest człowiekiem Zachodu, wychowanym w duchu kartezjańskiego racjonalizmu, w duchu myśli dociekliwej i krytycznej.

Szalamow jest Rosjaninem z krwi i kości, nigdy z Rosji nie wyjechał, z myślą zachodnią stykał się sporadycznie, wszystko jest w nim od początku do końca rosyjskie.

Jednocześnie człowiek Zachodu - Weissberg jest gorliwym i przekonany komunistą, a człowiek Rosji, dla którego Moskwa jest

"najbliższym mu miastem świata" - Szalamow, jest głębokim antykomunistą. Jak każdy z nich odniesie się teraz do swojej sytuacji ofiary barbarzyńskich represji, "niepotrzebnego okrucieństwa", do całego otaczającego ich koszmarne świata stalinowskich czystek, więzień, łagrów, egzekucji?

Weissberg jest przekonany, że trafił do domu wariatów, że oficerowie śledczy NKWD to ludzie obłąkani, że Sowiety epoki Stalina to świat obłądu, paranoi, absurdu, To, co się tu dzieje - pisze - "jest kompletnie bez sensu, są to wybryki rozpasanego aparatu, urągające wszelkiej racjonalnej interpretacji". Albo: "Złapałem się za głowę. Czy dostałem się do domu wariatów?" Albo: "Wszystko jest przecież najczystszy szaleństwem. Brak mi po prostu słów na scharakteryzowanie tego". Rok 1937: "Nastąpił wyścig obłądu". Itd., itd. Przy czym ani na moment nie odstępował wówczas od swoich przekonań: "Jestem niemieckim komunistą, rzuca oficerowi śledczemu, i przybyłem do tego kraju, by wziąć udział w budowaniu socjalizmu. Jestem patriotą Związku Sowieckiego".

Przekonany, że jest w domu wariatów, że jest w upiornej krainie obłądu i surrealistycznej paranoi, Weissberg nie załamuje się, jego umysł zachodniego racjonalisty w najstraszniejszych warunkach zatłoczonych, brudnych i ociekających krwią więzień pracuje intensywnie - szuka racjonalnego, rozsądnego wytłumaczenia tego, co się wokół niego dzieje. W każdej celi, do której go wrzucają, Weissberg próbuje dyskutować, pytać, chce wymieniać opinie. Ale jego rosyjscy współtowarzysze niedoli właśnie na Weissberga patrzą jak na wariata! Czego się rzucasz?, mówią. Co tu próbujesz zwojować? Cierp i siedź cicho!

Między tymi dwiema postawami nie ma żadnej komunikacji, żadnego języka. Dlatego nie wiem, czy Weissberg i Szalamow mogliby się porozumieć.

Ponieważ dla Szalamowa wszystko, co go otacza, jest częścią świata natury. Łagry należą do porządku natury, a nie do porządku ludzkiego. Czy człowiek może buntować się przeciw temu, że nastąpiły wielkie mrozy albo że przyszła straszna powódź? Jeżeli przyszła powódź, a ktoś zacznie wygrażać rzece, to powiedzą, że jest obłąkany, że uciekł z domu wariatów. Jeżeli przyszła powódź, trzeba wejść na najwyższe drzewo i czekać cierpliwie, aż woda opadnie. To jest racjonalność, to jest jedyne rozsądne działanie. Jeżeli człowiek trafił do łagru, nie powinien buntować się, bo za to go rozstrzelają, tylko tak żyć, żeby przetrwać. Może woda w rzece kiedyś opadnie, może z łagru kiedyś wypuszczą. Nic więcej zrobić nie da się i nawet nie trzeba.

W "Opowiadaniach kołymskich" świat poza drutami łagru właściwie nie istnieje. Wiadomość o końcu drugiej wojny światowej dociera tu z

opóźnieniem i nie wywołuje wrażenia. Prawdziwym i jedynym światem jest łagier. Łagier to zborna i logiczna struktura. Dlaczego Weissberg dopatrywał się w tym wszystkim absurdu? Gdyby łagier był absurdalny, rozleciałby się natychmiast. Tyle że logika łagru jest logiką morderstwa, jest inną racjonalnością niż ta, której poszukiwał austriacki inżynier-komunista.

To umysł Szałamowa jest racjonalny i logiczny, a umysł Weissberga zbłąkany, zagubiony w abstrakcjach. "Każda ingerencja w to, co niesie los, w wolę bogów, była czymś, co nie przystoi i sprzeczne jest z kodeksem postępowania w łagrze", wspomina Szałamow. I w domyśle - kto sądzi, że można zachowywać się inaczej, ten nigdy nie dotknął prawdziwego dna życia, nigdy nie przyszło mu dogorywać w "świecie bez bohaterów".

Tę różnicę postaw Szałamowa i Weissberga wobec świata represji, "innego świata" (I-Ierling-Grudziński), do którego zostali wtrąceni, objaśnia może największy filozof rosyjski Władimir Sołowjow: "Przeciwstawność dwu kultur - wschodniej i zachodniej - zarysowała się ostro już u zarania dziejów ludzkości. Jeżeli Wschód budował fundamenty swej kultury na bezwzględnym podporządkowaniu człowieka sile wyższej, nadprzyrodzoności, to na Zachodzie przeciwnie, człowiek pozostawiony był inwencji własnej, pozwalającej na szeroką twórczość samorodną".

Po ulicach Magadanu chodzi się wysokimi korytarzami wykopanymi w śniegu. Jest wąsko, przy mijaniu trzeba przystawać, przepuszczać drugą osobę. Czasem zdarzy mi się tak stanąć oko w oko z jakimś starszym mężczyzną. Zawsze, zawsze przychodzi mi wtedy do głowy pytanie: A wy kim byliście? Katem czy ofiarą?

I dlaczego mnie to intryguje i porusza? Dlaczego nie potrafię spojrzeć na tego człowieka zwyczajnie, bez tej nieznośnej i natrętnej ciekawości? Gdybym jednak zdobył się na odwagę i zadał mu to pytanie, a on zachowałby się szczerze, mógłbym usłyszeć odpowiedź: Widzicie, macie przed sobą i kata, i ofiarę.

W tym też była cecha stalinizmu - że w wielu wypadkach nie sposób oddzielić tych dwóch ról. Najpierw ktoś bił jako oficer śledczy, potem siedział i był bity, po wyroku wychodził i mścił się, itd. Był to świat zamkniętego kręgu, z którego istniało tylko jedno wyjście - śmierć. Była to koszmarna gra, w której przegrali wszyscy.

Zapuściłem się daleko, nad zatokę. W tym miejscu nie było już słyhać miasta. Przede wszystkim nie było słyhać Kołymy. Gdzieś za wzgórzem schodzącym do zatoki, w ciszy i ciemnościach leżeli jej zmarli. W którymś ze wspomnień przeczytałem, że wieczna zmarzlina Kołymy tak konserwuje

zwłoki, iż twarze pogrzebanych zachowują nawet swój wyraz. Twarze ludzi, którzy zobaczyli to, czego, jak ostrzegał Szalamow, człowiek nie powinien widzieć.

Pomyślałem o straszliwej bezużyteczności cierpienia. Miłość zostawia swoje dzieło - to następne pokolenia przychodzące na świat, trwanie ludzkości. Ale cierpienie? Tak wielka część ludzkiego przeżycia, bolesna i najtrudniejsza, przechodzi i nie zostawia śladu. Gdyby zebrać energię cierpienia, jaką dały tu z siebie miliony ludzi, i przemienić ją w siłę tworzenia, można by z naszej planety stworzyć kwitnący ogród.

Ale co zostało?

Zardzewiałe kadłuby statków, butwiejące wieżyczki strażnicze, głębokie doły, z których kiedyś wydobywano jakąś rudę. Ponura, martwa pustka. Nigdzie nikogo, bo umęczone kolumny już przeszły i zniknęły w wiecznej zimnej mgle.